

Miz gnał na ogromnym białym wierzchowcu w stronę atakujących przeciwników, a za nim ustawieni w klin wojowie z długimi, ciężkimi włóczniami, które trzymali na razie pionowo. Kolorowe proporce w królewskich barwach wesoło łopotały na wietrze. Kiedy zbliżyli się do wroga wyraźnie przyspieszyli i opuścili lance, które miały długość prawie trzech roślących wojów, co dawało ogromną przewagę w bezpośrednim starciu. Włócznie dzikich były prawie dwa razy krótsze. Wreszcie obydwie grupy kawalerzystów starły się. Rozległ się chaos dźwięków złożony z wrzasku i szczęku broni. Wszędzie unosił się kurz. Wreszcie po kilku minutach pojedyncze oddziały dzikich wraz z końmi bez jeźdźców czmychały z pola walki. Dzicy, nawet w liczebnej przewadze nie byli w stanie sprostać w walce z silnie uzbrojonymi i odzianymi w stalowe hełmy i pancerze dużo roślejszymi od nich wojami. Nagle grupa około pięćdziesięciu wojowników wyrwała się z matni i ruszyła z wrzaskiem na wozy, a tam Rekuz, dobry żołnierz i doświadczony wojownik przygotował się na ich spotkanie. Najpierw w kierunku napastników poleciały strzały i kilkunastu spadło z koni. Po chwili poszybowały lekkie włócznie i bełty z kusz woźniców. To wystarczyło. Grupka rozpierchła się i rozbiegła po stepie. Nikt ich nie ścigał.

Tymczasem Miz wracał z wojami w kierunku wozów. Połowa dzikich poległa, pozostali byli ranni bądź uciekli w step. Wojowie równin ponieśli minimalne straty. Poległych i rannych ułożono na wozach. Wreszcie oddział ruszył w kierunku lasu.

Knon ze swoimi ludźmi obserwował odjeżdżających. Podjechał do niego ranny wódz dzikich z kilkoma wojownikami:

- Ty szczurze... mogłeś nam pomóc. Masz trzystu ludzi.
- Odradzałem ci atak.
- Mówiłeś, że jak ich zaatakujemy, to uderzysz na nich od tyłu.
- Za szybko przegrałeś.
- Jesteś zdrajcą. Król dowie się o tobie.
- I co z tego? Widzisz, durniu, te wozy?
- Tak.

— Jak dotrą do lasu, jutro wyjedzie z niego kilkanaście tysięcy najemników, ich najlepsze oddziały. Najpierw zrobią porządek z wami, zagnają was w góry, potem przyjadą do stolicy i wytną w pień wszystkich. Oni nie znają litości. Ich jazda wraz z ludźmi równin zmiecie wszystko, co stanie im na drodze, a my wycofamy się i zerwiemy sojusz. Radzę zrobić wam to samo. Powiedz o tym swojemu królowi.

- Jakże to? Stolica ma być zdobyta? Mieliśmy wziąć mnóstwo złota.

— Nie zdobędziecie twierdzy. Jest dobrze broniona, a król nie ma wody, ludzie są spragnieni, chorują, wojsku grozi bunt... Wojna jest przegrana. Idź precz, dziadzie, inaczej zostaniesz ustrzelony z łuku.

— Zdrajca!

— Jestem tylko praktycznym wodzem, a ty durniem.

— Odjechali panie, a naszych nadal nie ma.

— Przegraliśmy tę wojnę. No, czas wracać do domu.

Niewielki konwój wraz z eskortą bez większych przeszkód dotarł w końcu do granicy lasu, gdzie oczekiwał go Logg z niewielką, jak się okazało, eskortą. Z zadowoleniem zlustrował wozy pełne złota, po czym wysłał tabor do stolicy. Z ironicznym uśmiechem podjechał do Miza, który szczerze wynagrodził grabarzy i wojowników odpowiedzialnych za transport złota:

— Hojny z ciebie wódz.

— Ci ludzie walczą za pieniądze, nie za honor.

— To zrozumiałe. Wojnę już wygraliście. O świcie dostaniesz piętnaście tysięcy dobrych żołnierzy, bardzo dobrych... Z twoimi wojami dacie radę królowi. On jest coraz słabszy.

— Jak to?

— Dzisiaj w nocy opuszczą go wojownicy Knona, którzy doskonale wiedzą, że w mieście nie ma już niczego cennego, ani ludzi, ani złota.

— Straci całą jazdę?

— Tak, zgadza się. Poza tym, brak im wody. Nocą przeprowadzą ostatni szturm. Dzicy odejdą od niego o świcie. Nie ma niewolników, nie ma czym handlować. Jutro w południe rozpoczną odwrót, wtedy możesz zaatakować.

— Tylko po co?

— Porozmawiajmy o tym. Proponuję zdobyć ostatni tabor ze zdobyczą.

— Skąd wiesz?

— Nie pytaj, wróg będzie się wycofywał w dobrym porządku, silna straż przednia, bez ciężkich wozów, następnie oddziały właściwe z ciężkim taborem, których nie warto atakować, bo są zbyt silne. Na końcu będzie straż tylna, dobrze uzbrojona, ale bez jazdy. Pokonamy ich bez problemu. Trzeba jeszcze bardziej osłabić ich króla, bo on wam nie daruje tej dzisiejszej klęski i za kilka lat znowu zaatakuje, a wówczas nikt wam nie pomoże.

— Dobrze mówisz. Wracam do swoich, jestem zmęczony.

— Gratuluję.

— Czego?

— Przywiozłeś złoto, a nikt nie wierzył w to, że ci się to uda.

— Nawet ty?

— Przede wszystkim ja... ha, ha, ha...

Miz pozostawił zadowolonego Logga, który głośno jeszcze się śmiejąc zawrócił i pognął przez las do swojego króla. Miz tymczasem zmęczony wrócił do swojego obozu. Szybko zmył z siebie zapach trupów i wojny, położył się na skórze z niedźwiedzia i natychmiast zasnął. Spał bardzo długo, nikt nie śmiał obudzić wodza, nawet Logg cierpliwie czekał na zewnątrz namiotu z zainteresowaniem przyglądając się trenującym walkę mieczem młodych wojowników. Wreszcie usłyszał znajomy głos. Miz wezwał najemnika do swego namiotu:

— Co nowego, panie?

— Nocą był straszny szturm na miasto. Trwał pięć godzin. Ogniste kule leciały bez przerwy, wielu waszych poległo, ale miasto nie padło. Zadaliście ogromne straty wrogowi. Dzicy ludzie wycofali się. Stracili jedną trzecią swoich sił. Właśnie zdążają w stronę gór. Boją się zemsty. Moi ludzie rozbili dwa duże oddziały. Mamy wielu jeńców.

— Ilu?

— Sześć tysięcy. Będą nam potrzebni.

— Dla was wojna to dobry zarobek, co?

— Owszem, tak. Tak powinno być. Poza tym, tak osłabieni wrogowie nie szybko wystąpią przeciwko wam. Ta pechowa wojna doprowadzi do buntu i obalenia ich króla.

— Możliwe. Gdzie są twoi wojownicy?

— Tutaj. Jesteśmy gotowi do bitwy.

— Co się dzieje w obozie wroga?

— Pakują się. Stracili dziesięć tysięcy wojowników podczas szturm. Król nocą umarł, ponoć został otruty. Teraz dowodzi tam młodszy brat... To niebezpieczny człowiek... Planów jednak nie zmienił. Za kilka godzin wyruszą. Kiedy ich kolumna rozciągnie się po stepie, wtedy zaatakujemy.

— Dobrze mówisz, ale połowa zdobyczy jest nasza.

— Czterdzieści procent.

— Połowa. Za bardzo ci zależy.

— Czterdzieści pięć procent, to dobry interes.

- Połowa albo zaatakujesz sam, a wtedy nie zdobędziesz taboru.
- Czterdzieści osiem procent.
- Zgoda, niechaj tak będzie.
- Oby cię bogowie pochłonęli, ale się targowałeś.
- Bo za bardzo ci coś na tym zależy, dlatego przegrałeś.
- Możliwe.
- Poza tym, jesteś okropnie chciwy. Po co ci tyle zdobyczy, tylu niewolników?
- Chcę się dobrze ożenić, będę budował pałac na obrzeżach stolicy.
- No tak, teraz wszystko rozumiem.
- Przygotujmy plan bitwy.

Miejsce ataku wybrano znakomicie. Idealnie płaski teren, kolumna marszowa przeciwnika była długa na trzy mile. Żołnierze maszerowali w dobrym szyku, ale byli mocno spragnieni i głodni, dlatego też odwrót odbywał się bardzo powoli. Miz z Loggiem przez skórzane lunety obserwowali ponury odwrót wojsk południa:

— Morale są niskie, nie mają jazdy. Spójrz, panie, jakie chude woły ciągną wozy. Mamy ich, już nam nie uciekną.

— Dziesięć tysięcy dobrej, ciężkiej piechoty, trudno będzie ich pokonać.

— Nikt im nie przyjdzie z odsieczą, zablokujemy im drogę, otoczmy ich i zagłodzimy.

— Mają dwa tysiące kuszników, bezpośredni atak to szaleństwo. Poza tym... widzę sporo pikinierów.

— Dlatego też weźmiemy ich głodem. Zaufaj mi, panie. Pamiętaj też, że trzy tysiące moich ludzi ma długie łuki i mnóstwo strzał. Zobaczysz, jak zaczną szybko ginąć, poddadzą się następnego dnia.

— Obyś miał rację.

— Wy tylko macie blokować im drogę, resztę zostaw nam.

— Tylko... No, dobrze, zgoda.

— A zatem zaczynamy.

Logg machnął proporcem, a po chwili zagrały trąby i rogi. Trzydzieści tysięcy konnych wojowników ruszyło do ataku. Dowódca tylnej straży był dzielnym wojownikiem, ale na widok takiej ilości ciężkiej jazdy ugięły się pod nim nogi. Mimo to, szybko oprzytomniał, sprawnie sformował tabor i ustawił wojska. Wiedział, że łatwo się nie podda. Ku jego zdumieniu, nie było bezpośredniego ataku na wozy. Wróg sformował wielkie koło i zaczął blokadę taboru. Zrozumiał, że przegrał. Nie miał wody

i żywności, na odsiecz też nie mógł liczyć. Do tego jeszcze nagle usłyszał charakterystyczny świst. Nie zdążył nawet krzyknąć komendy, kiedy rój strzał dopadł jego ludzi, a dziesiątki jego dzielnych wojowników padło, setki było rannych, strzały zaś nadlatywały bez przerwy. Przerażeni żołnierze stali w szyku, ale ich liczba topniała w oczach, wybuchła panika, którą szybko na szczęście opanowano, ale wielu ludzi znowu padło ofiarą długich strzał. Dowódca ukryty pod jednym z dużych wozów wezwał oficerów na naradę:

— Co robimy, panowie? Nie uratujemy siebie ani wojska. Radźcie.

— Nie mamy wody ani zapasów żywności, żołnierze są słabi, pierwszy poważniejszy atak nas zniszczy. Nie ręczę za moją piechotę.

— Moi kusznicy się nie poddadzą, ale jest ich coraz mniej. Wróg ma długie łuki, a my nie mamy skutecznej broni, by ich uciszyć. Nie wiem, co robić, szkoda żołnierzy, to taka głupia śmierć.

— Oni nas nie wypuszczą, pójdziemy wszyscy w niewolę.

— To prawda. Są z nimi najemnicy, a Logg nie podaruje nam wolności.

— Będziemy w takim razie walczyć, by się przebić. Sformować szyk uderzeniowy. Zostawimy ten cholerny tabor. Połowa wołów i tak już zginęła od strzał. Pomaszerujemy do swoich. Pikinierzy i tarczownicy na zewnątrz, kusznicy i reszta wewnątrz. Ruszymy ciasnym szykiem. Nie wolno nikomu panikować. To nasza jedyna szansa.

— A wozy?

— Niechaj będą przeklęte.

— Panie, król nas powiesi.

— Specjalnie zostawił nam te wozy. To podstęp. Pozostawił nas, żeby sam mógł ocalić wojsko. Wiedział, że mamy szpiegów w obozie. Nasze wozy tak naprawdę są puste, sami sprawdźcie, najemnicy dali się nabrać.

— Jesteś pewien?

— Tak, sam widziałem, jak złoto i srebro ładowano do królewskiego taboru.

— Dobrze, a zatem mamy niewielką szansę uciec, ale jednak jakaś szansa jest.

— Tak, jeśli zachowamy spokój.

— Sprytnego mamy króla.

— Owszem.

Wodzowie konnych wojsk ze zdumieniem i podziwem obserwowali sprawne formowanie szyku uderzeniowego wojsk taborowych, by po kwadransie najeżony

długimi włóczniami i otoczony wielkimi tarczami żelazny taran szybko maszerował w kierunku zaskoczonych kawalerzystów. Ci szybko wycofali się, bo nikt nie chciał atakować szarżą tak przygotowanego do walki przeciwnika:

— Co robimy?

— Zostawili cały tabor, nawet nie podpalili wozów, coś tutaj jest nie tak.

— Nie mają wołów ani koni, wielu ich padło, ale są dobrze dowodzeni, nie poddadzą się.

— Mam gorsze wieści. Król ruszył im na pomoc.

— Zabieramy wozy i uciekamy, to jedyne rozsądne wyjście, szkoda wojowników.

— Dobrze.

Nagle do stojących wojowników podjechał dowódca lekkiej kawalerii wojsk najemnych, który chciał koniecznie widzieć się z Loggiem:

— Panie, wybacz, ale mam złe wieści.

— Mów.

— Wozy są puste. Na niektórych tylko leżą beczki ze słoniną, nic tam nie ma.

— Jak to?

— Oszukali nas, panie, to podstęp.

— Wracaj do swoich ludzi.

— Tak, panie.

Wściekły Logg stał i patrzył, jak oddział wroga sprawnie porusza się w kierunku maszerujących w jego stronę głównych wojsk królewskich. Nie zamierzał atakować przeciwnika, bo to nie miało sensu i choć wygrał wojnę, to wróg nie został pokonany:

— Tym razem nam się nie udało całkowicie ich się pozbyć.

— To prawda.

— Zostaniemy na stepie przez tydzień, oczyścimy wasze piękne łąki z maruderów i dezterterów, a potem wracamy do siebie.

— Zgoda. Nie chcesz brać udziału w dzisiejszej uczcie zwycięstwa na zamku? Król na pewno cię zaprosi.

— Nie ma takiej potrzeby.

— Jak chcesz.

— Bywaj! Dobry z ciebie wojownik. Zawsze możesz do nas przystać, pamiętaj o tym.

— Kto wie... kto wie...?

Logg skłonił się nisko i szybko odjechał w asyście swoich przybocznych wojowników na szeroką przestrzeń wysuszonego stepu. Miz rozkazał zabrać puste wozy do miasta. Stwierdził, że na pewno przydadzą się w jego odbudowie. Po raz ostatni spojrzał na linię horyzontu, gdzie wielka kolumna ciężkiej piechoty rozplywała się w tumanach kurzu:

— Uciekli nam, panie.

— Tak, mają nowego króla, a to chytry i mądry przeciwnik. Ciężko będzie z nim wygrać kolejną wojnę.

— Nie wrócą tu tak szybko.

— Ponieśli porażkę, ale nie klęskę, zachowali armię i kiedy stworzą dobrą jazdę, to po nas.

— Jedźmy panie do miasta, król nas oczekuje, przysłał posłańców.

— Masz rację.

Stolica wyglądała przerażająco. Wszędzie unosił się zapach trupów, palonego drewna i wojny. Chociaż grabarze wywieźli już wszystkich poległych obydwu walczących stron, to smród pozostał. Wały były poniszczone, palisady porozbijane i naprędce naprawiane. Pół miasta spłonęło, tylko zamek zbudowany z granitowych kamieni ocalał nietknięty. Widok za wałami był jeszcze gorszy. Wszędzie leżały kamienie, kawałki drewna rozbite i popalone maszyny wojenne. Część bruku została rozebrana na budulec. Mimo, że porządku pilnowała gwardia królewska, wszędzie widać było bałagan i chaos.

Miz uważnie obserwował wszystko. Chciał porozmawiać z królem o modernizacji i odbudowie stolicy na wzór wielkich miast najemników. Kiedy z wiernym Rekuzem przekroczyli bramy zamku, zastali tam dziwny porządek i ład. Okazało się, że Heron zaprowadził własne prawa na terenie cytadeli, a że był człowiekiem surowym i bezwzględny, ale sprawiedliwym, cieszył się szacunkiem niemal wszystkich obywateli królestwa. Wreszcie Miz udał się do wielkiej komnaty królewskiej, gdzie zastał władcę samotnie stojącego przy oknie. Ogromny mężczyzna zatroskany patrzył na zniszczone miasto, gdy usłyszał głos wiernego woja:

— Witaj, panie.

— Jesteś wreszcie. Siadaj, nalej sobie najlepszego wina i miodu... zasłużyłeś, pokonaliśmy wrogów.

— Dziękuję, panie.

— O czym chciałeś ze mną porozmawiać? Znam cię bardzo dobrze i ten mars na twojej twarzy mówi wiele. Zwycięstwo dla ciebie to nie wszystko. Więc... o co chodzi?

— O zmiany. Chciałem porozmawiać o odbudowie i reformie kraju. Następnego ataku nie przetrwa ani nasza stolica, ani państwo.

— To prawda. Bywałeś w wielu miastach bogatych i pięknych. Powiedz, jak nasza stolica prezentuje się w porównaniu z tymi najpiękniejszymi?

— Kiepsko, wręcz tragicznie, jak zacofany zaścianek.

— Dziękuję za szczerość, choć to bolesne, ale jesteś zwycięzcą, więc miast zganić, wysłucham cię. Mów, co robić.

— Nie mamy, panie, wielkich miast ani twierdz, nasi ludzie to koczownicy ze stepu. Trzeba to zmienić, założyć przynajmniej trzy duże, nowoczesne grody, manufaktury, hodowle koni, rozwinąć handel, zarabiać pieniądze... Czasy się zmieniają, tylko my tkwimy ciągle w odległej epoce ze starymi zwyczajami.

— Prawda to, ale jak to zmienić?

— Ograniczyć władzę kapłanów, trochę zabrać im ziem, złota, założyć szkoły, kształcić młodzież, inżynierów, rzemieślników... Tego nam brakuje. Sami wojownicy nie stanowią siły nowoczesnego państwa.

— Uhm... I co dalej?

— Musimy stworzyć nowy aparat władzy, prawa i skarbu.

— Taaak... kiepsko u nas z podatkami, ale jak ograniczyć władzę arcykapłana?

— Jest tylko jeden sposób.

— Jaki?

— Trzeba tego człowieka zgładzić, otruć, udusić... ten, który jest, musi zniknąć w jakiś sposób.

— To nie będzie takie proste, to cwany lis, ale jak my się nie pozbędziemy tej hieny, ona zamorduje nas, to prawda.

— I to sprawnie i szybko.

Król zamilkł, Miz również przestał mówić. Wypił tylko dwa puchary miodu i zajął się zajadaniem smacznej wieprzowej pieczeni przyniesionej przez sługi. W milczeniu patrzył na władcę. Lubił króla. Był dzielny, odważny i sprawiedliwym władcą. Poza tym, przed objęciem tronu kształcił się w obcych królestwach. Doskonale zatem zdawał sobie sprawę z tego, w jak rozpaczliwym stanie znajdowało się jego państwo. Wreszcie



odwrócił się i energicznie podszedł do stołu, oparł na jego deskach potężne dłonie i zaczął szybko mówić:

— Nie mamy czasu, trzeba działać.

— Tak jest, panie.

— Komu możemy zaufać?

— Jest kilku dobrych setników... No i Heron, oczywiście. Inni są niepewni.

— Jutro wieczorem wraca ludność wraz z kapłanami. Mamy mało czasu. Co robić?

— Nic panie, zwołasz radę, którą przekupisz złotem i przywilejami, zmienisz prawo, sprowadzisz dobrych budowniczych, inżynierów i rzemieślników z za morza i będziesz tworzył nowe państwo. To dość proste.

— Ha... ha... ha... Dla ciebie wszystko jest proste. Połowę złota już wydaliśmy na najemników, chcesz rozdać resztę?

— Nie panie, mamy srebro.

— Jak to? Gdzie?

— Na naszym stepie.

— Mów jaśniej, jakie srebro?

— Otóż, kiedy byłem w królestwie zachodu, rozmawiałem tam ze starym górnikiem, który w młodości terminował u twego ojca. Otóż, tenże szukał kruszców i twierdzi, że wie, gdzie jest dużo srebra. Trzeba tylko wydobyć ten skarb. Mam mapę sporządzoną przez niego, zaprowadzę was tam, panie. Potem sprowadzimy górników i w taki oto prosty sposób będziemy mieć fundusze na modernizację królestwa.

— Czyżby to prawda? Aż takie proste by to było?

— Jako słońce na niebie, panie.

— Przyrzeknij!

— Przyrzekam, panie, na mój honor.

— Dobrze, a czy dobrze znasz nasze prawo?

— Tak.

— Połowa srebra dla kapłana, jedna trzecia dla mnie, reszta do skarbu wojennego. To chyba nieco kiepski interes, prawda?

— Owszem i koniecznie trzeba to zmienić. Nie kapłan jest władcą w tym królestwie, więc po co mu taki skarb, powinien skupić się na sprawach mniej doczesnych.

— Co proponujesz?

— Szczerze?

— Mów śmiało.

— Połowa srebra dla króla, jedna czwarta na armię, reszta dla ludu, na odbudowę domów ze zniszczeń wojennych.

— A kapłani?

— Nie dostaną nic, bo i za co, po co, na co?

— Dobrze mówisz. Pojedziesz z poselstwem do króla zachodu, dostaniesz trochę złota, najmiesz górników, budowniczych, inżynierów i rzemieślników, a także dobrego architekta i prawnika, przywieziesz ich tutaj. Zbudujemy nowoczesne miasto, z wodociągami, kanalizacją i ładnymi domami, stworzymy zawodową armię i manufaktury. Nasze królestwo musi być wielkie i nowoczesne.

— Brawo, panie, nie boisz się zmian.

— Masz mnie za durnia, Miz? Jeśli tego nie zrobię, arcykapłan przejmie władzę, a to byłby koniec naszego państwa. Przecież on widzi tylko swój interes, wiecznie mu mało: złota, ziemi, zaszczytów... Aha, przywieziesz jeszcze ze trzech mądrych nauczycieli. Król Zachodu to mój przyjaciel, pomoże nam.

— Tak, panie.

— A teraz udasz się do skryby, by spisał wszystkie twoje pomysły, a niczego nie zapominaj. Później masz dwa dni na odpoczynek. Trzeciego dnia stworzysz oddział, który wyruszy na zachód. Pobierzesz tyle złota ze skarbcza, ile trzeba, dostaniesz glejty i upoważnienia. Nie zawieź mnie, Miz.

— Możesz na mnie liczyć, królu.

— Ja muszę zostać tu, pilnować królestwa, bo inaczej może być źle.

— Rozumiem.

— No, to jesteś już wolny. No idź już do tej swojej czarnookiej piękności.

— Skąd o niej wiesz, panie?

— Nie doceniasz mnie.

— Masz szpiegów, królu?

— Wszędzie, tak jak i arcykapłan.

Krół się nie mylił. Całej rozmowie przysłuchiwał się jeden z zaufanych sług, ale miał pecha. Zapisał rozmowę, a jego notatki przypadkowo znalazł Heron, który nie wahał się i szpieg za zdradę został powieszony w wieży zamkowej, a jego ciało zaś poćwiartowane i rzucone ptakom na pożarcie. Król tym razem miał szczęście.

Miz po spisaniu wszystkich projektów zmian wyszedł z zamku i udał się do domu czarownic, jak powszechnie nazywano stary kamienny budynek, w którym mieszkały kobiety leczące ludzi. Wojna łaskawie ominęła mały dom. Miał tylko zniszczony ganek i nadpalony dach. Miz mocno zastukał kołatką, a po chwili w wąskim otworze drzwiowym ujrzał zdumioną twarz ukochanej kobiety:

— Witaj, przychodzisz tutaj ot tak? Ktoś pewnie cię widział.

— Król już wie i mam jego błogosławieństwo.

— Naprawdę? Wejdz, jestem sama.

— Dość już tych zabaw w chowanego. Jestem generałem i podlegam tylko władzy króla.

— A arcykapłan?

— Przybędzie dopiero jutro w nocy, więc mam spokój.

— Widziałeś miasto?

— Tak. Wygląda naprawdę bardzo źle.

— Gdzie ci ludzie będą mieszkać?

— Na razie w cytadeli, w koszarach i namiotach. Wkrótce przybędą architekci.

Odbudujemy miasto, ale to będzie całkiem nowe miasto.

— Naprawdę? A skąd na to fundusze? Skarb jest pusty, wojna nas zrujnowała.

— Zaufaj mi, będą i pieniądze.

— Znowu ruszasz z poselstwem?

— Tak, skąd wiedziałaś?

— Uważaj na siebie, grozi ci niebezpieczeństwo.

— Wiem o tym.

— Arcykapłan to mściwy człowiek.

Miz nic nie odpowiedział, przytulił się do jędrnego ciała czarnowłosej kobiety i pocałował narzeczoną mocno w usta. Ta przyjęła zaloty, ale w pewnym momencie odepchnęła adoratora:

— Co się dzieje?

— Idzie tutaj tan twój przygłupi sługa.

— Rekuż?

— Tak, to on.

— Skąd wiesz?

— Spójrz na sufit.

— Nic nie widzę.

— Uważniej, tam w rogu. Ślepy jesteś?

— Rozumiem. Sprytne. Kto to zrobił?

— Nie wiem. Jest tutaj od zawsze.

W rogu pokoju ukryte było niewielkie, umieszczone pod pewnym kątem lustro, odbijające obraz innego lustra i tak dalej. Ostatnie umieszczono tak, aby widać było ulicę. Ktoś to dobrze obmyślił i zaprojektował, dzięki czemu osoba będąca w głównym pomieszczeniu domu widziała, co działo się na ulicy. Rzeczywiście, do domu zielachny zbliżał się nieco podпиты Rekuz. Stał niepewnie i już miał uderzyć kołatką, gdy w drzwiach ujrzał Miza. Zaskoczony gapił się przez jakiś czas na swojego pana, aż wreszcie przemówił:

— Panie, jest źle, bardzo źle.

— O co chodzi?

— Piłem z chłopakami z gwardii kapłana, to ci z jego prywatnego wojska... grozi nam wojna domowa.

— Co ty mówisz? Właż do środka. Skąd wiesz, że tutaj jestem?

— Jeden taki mi powiedział... za srebrnego grosza...

— Kto?

— Obiecałem dyskrecję.

— Śledził cię ktoś?

— Tak, ale już nie śledzi, leży ogłuszony na sianie w stajni. Ja też mam tutaj przyjaciół.

— Dobrze, gadaj, co wiesz.

— Za chwilę. Wina, więdźmo, a szybko!

— Zamknij pysk, to moja kobieta.

— Gładka dziewczka, choć czarniawa.

— Będziesz gadał?

— Muszę się napić, na sucho mi nie idzie.

— Mas, pij, zakało królewskich żołnierzy.

— Dobry miód, przedni.

Rekuz, choć z natury był szelmą, drobnym przestępcą i złodziejaszkiem, ubóstwiał swego pana i jak każdy wierny sługa starał się jak najlepiej pracować. Był dobrym i dzielnym żołnierzem, przyjaźnił się z Mizem od dzieciństwa. Wiedział, że jego pan nie robi nigdy krzywdy przyjacielowi, więc czasami pozwalał sobie na więcej niż przyzwoitość i niż relacje wódz-podwładny na to pozwalały, a że był dobrym

kompanem i niezłym pijakiem, miał wszędzie wielu kumpli. Poza tym, należał do tych osób, które wszyscy lubią:

— Jak już wspominałem, piłem z chłopakami z gwardii przybocznej arcykapłana. Oni nie otrzymali żołdu, więc sakiewki mają puste, a gardła wysuszone.

— Do rzeczy, gamoniu.

— No więc... trochę wypiliśmy... ja dzięki tobie, panie, mam sporo grosza, więc tak od słowa do słowa doszliśmy do wniosku, że powinni przyjąć się na służbę do naszego oddziału. Mamy przecież straty, a to dobrzy wojownicy.

— Hm... ciekawy pomysł. Przydałoby nam się paru dobrych wojowników.

— No właśnie. Daj panie parę sztuk złota, a rano będzie ze trzydziestu w naszych barwach, to znaczy królewskich.

— Zgoda, dostaniesz pieniądze. Ale teraz gadaj do rzeczy, o buncie.

— No więc, jeden z ich setników, bardzo cię chwalił panie, a że trochę wypił, to na końcu stwierdził, że trudno będzie bić swoich, ale takie ma rozkazy, to ja na to, jakże tak, a on, że arcykapłan już wie o złocie, że to był twój pomysł i że każe cię za tę kradzież powiesić bez sądu i zgody króla. Na to ja ładnie podziękowałem i od razu przybiegłem tutaj.

— Dobrze się sprawiłeś. Przeprowadź tych ludzi pod zachodnią bramę o północy. Wyruszamy z kolejną misją, odpoczniemy w wysokim lesie.

— Dobrze, panie.

— Przekaż ten rozkaz moim dowódcom.